Poul Anderson

Tygrysa za ogon

(Tiger by the Tail)

Planet Stories, January 1951
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu zaczerpnięto z Internet Archive.

I

Kiedy kapitan Dominic Flandry otworzył oczy, ujrzał nad sobą metalowy sufit. Jednocześnie do jego świadomości zaczęło docierać leciutkie dudnienie i drżenie, oznaczające że znajduje się na pokładzie statku kosmicznego, lecącego na hipernapędzie.

Szybko się poderwał się i usiadł, z taką gwałtownością, że pozostałości alkoholu przeleciały mu wirując przez głowę. Zasnął w swoim pokoju, gdzieś w pieleszach Catawrayannis, nie mając w jakimś najbliższym czasie, żadnych planów czy też zamiarów opuszczenia miasta –– nie wspominając już o samej planecie! A tymczasem…

W głowie pojawiła się mu chłodna świadomość, że nie znajduje się na pokładzie ludzkiego statku. Humanoidalnego, owszem, wynikało to z rozmiarów i sposobu zaprojektowania różnych detali, ale ten statek nie mógł zostać zbudowany w granicach Imperium, ani żadne znane mu zagraniczne państwo, również nie robiło tego w ten sposób.

Można było to powiedzieć, już nawet rozglądając się po tej małej kabinie. Znajdowały się w niej koje, do których mógł się całkiem nieźle wpasować, ale prześcieradła i koce nie były z plastikowej tkaniny. Wydawały się… Przyjrzał się im nieco dokładniej… Prześcieradła zdawały się być utkane z jakiegoś włókna roślinnego, a koce z jakiegoś długiego, niebieskawoszarego włosia. Na środku pomieszczenia stała para krzeseł i stół, drewniane, niegdyś musiały mieć swoje lepsze dni, ponieważ były ręcznie rzeźbione, w wyrafinowany sposób, w zawiłe poprzeplatane wzory, będące dla Flandry'ego zupełną nowością –– a przecież planetarne formy sztuki, stanowiły jego hobby. Sposób i styl w jaki zostały naniesione metalowe platerowania były kolejnymi oznakami, i…

Ponownie usiadł, chowając swoją wirującą głowę w dłoniach i spróbował trochę pomyśleć. W głowie mu solidnie dudniło, a w ustach czuł jakiś paskudny smak, którego alkohol zwykle nie zostawiał –– a przynajmniej nie trunki zazwyczaj przez niego pijane –– a teraz sobie już przypominał, że poczuł senność dużo wcześniej niż można by tego oczekiwać w towarzystwie takiej ładnej dziewczyny…

Prochy… och, nie! *Powiedz mi, że nie jestem taki głupi jak bohaterowie stereofilmów! Wszystko, tylko nie to*!

Ale kto to mógł wymyślić, kto mógłby za tym stać? Z pewnością ludzie i inne istoty, z którymi rywalizował, nigdy by nie spróbowali czegoś takiego jak to. Ponadto nikogo z nich nie było w okolicy, był tego zupełnie pewien. Po prostu obecnie nie zajmował się budowaniem żadnej

wyrafinowanej konstrukcji, w skład której wchodzili różnego rodzaju znajomi z półświatka i informacje, które mogły w końcu, nadzwyczaj okrężnymi drogami, doprowadzić go do tych, których szukał. Najnormalniej w świecie był poza tymi sprawami, miło spędzając czas –– bardzo miło, prawdę mówiąc –– i…

I obecnie był w rękach kogoś spoza Imperium. I co teraz?

Wstał, nieco chwiejnie, i rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu swoich rzeczy. Nawet najmniejszego śladu. A przecież zapłacił za to ubranie trzysta kredytów. Wpadając we wściekłość, gwałtownie podbiegł do drzwi. Nie miały czujnika fotokomórki. Otworzył je jednym szarpnięciem i stwierdził, że stoi, spoglądając w otwór lufy blastera.

Był zupełnie innej konstrukcji, niż jakakolwiek znana mu broń, ale trudno byłoby go pomylić z czymś innym. Flandry westchnął, rozluźnił napięte mięśnie, i zaczął dokładniej przyglądać się trzymającemu broń strażnikowi.

Był humanoidalny, w wysokim stopniu, być może nieco mocniej zbudowany niż przeciętny Ziemianin –– a jeśli już o tym pomyśleć, to sztuczna grawitacja była nieco większa niż jedno gie –– miał bardzo białą skórę, długie brązowawe włosy i brodę, a do tego skośne fioletowe oczy. Uszy były szpiczaste, a nad grubymi łukami brwi, wyrastały dwa małe różki. Poza tym był dosyć podobny do ludzi. W cywilizowanym ubraniu i płaszczu z kapturem, z łatwością mógłby podawać się za człowieka.

Oczywiście nie w stroju, który miał obecnie na sobie, składającym się z kiltu i tuniki, świecącego berylowo-miedzianego pancerza i hełmu, wysokich sandałów na koturnach, nałożonych na gołe nogi i morderczo wyglądającego sztyletu. W dodatku u pasa wisiało mu parę skalpów.

Gestem wskazał więźniowi, by się cofnął, i zagrał długi, dudniący sygnał, na zwisającym mu u pasa rogu. Dzikie echa muzyki zaczęły gonić się nawzajem po długim, pustym korytarzu, grzmiąc i hucząc, wypełniając go prymitywnym zgiełkiem, wywołującym lekkie dreszcze wzdłuż kręgosłupa kapitana Flandry’ego.

Czekając na efekt, wolno myślał: Brak interkomu, najwidoczniej nie mają nawet żadnych rur głosowych, biegnących po długości statku. W dodatku sprzęty i wyposażenie domowe zrobione z drewna, włókien roślinnych i zwierzęcych, i to archaiczne ubranie u tego tutaj… Są barbarzyńcami, niewątpliwie. Ale nie pochodzili z żadnego szczepu, o którym by kiedykolwiek słyszał.

Nie było to jakoś specjalnie zaskakujące, ponieważ Imperium Ziemskie i te parę innych innych cywilizowanych państw w znanych regionach galaktyki, rządziło ponad kilkoma tysiącami inteligentnych ras, a sporadyczne kontakty utrzymywało, z Bóg wie iloma tysiącami więcej. Wiele z tych innych było oczywiście nadal ograniczonych do swojej planety, ale kilka szczepów mieszkających wzdłuż granic Imperium opanowało sporą część ludzkiej technologii, nie zmieniając swojego fundamentalnego sposobu patrzenia na świat. Tak jak to zwykle dzieje się w efekcie wynajmowania barbarzyńskich najemników.

Okoliczne plemiona ciągle były łupieżcami, zagrożeniem dla planet pogranicza, i zaledwie niewielkim problemem dla Imperium jako całości.

Od czasu do czasu przekupywano je, rozgrywano jedne przeciwko drugim, a czasami nawet Imperium wysyłało poza granice małą karną ekspedycję. Ale jeżeli pewnego dnia jakaś silna barbarzyńska rasa, pod przywództwem silnego przywódcy, zdoła uformować solidniejszą koalicję –– wtedy *vae victis*!

Korytarzem nadeszła grupa porywaczy Flandry'ego, ewidentnie złożona z kilku oficerów, strażników i niewolników. Ich przywódca był wysoki i dobrze zbudowany, z jego jasnoniebieskich oczu wyglądała zimna arogancja, nie przesłaniająca jednakże wyrachowanej inteligencji. Na głowie nosił małą złotą koronę, a opływające jego potężne ciało szaty pyszniły się wszystkimi kolorami tęczy. Flandry rozpoznał kilka rzeczy, które zostały wyprodukowane w Imperium. Prawdopodobnie zrabowane.

Zatrzymali się przed nim i przywódca obrzucił go od góry do dołu, zdecydowanie obraźliwym spojrzeniem. Konieczność poddania się podobnej inspekcji w sytuacji, kiedy stoi się nagim, mogłoby wywołać straszliwe zażenowanie, ale Flandry był odporny na uczucie wstydu, i odpowiedział mu uprzejmym wzrokiem.

Przywódca w końcu przemówił, mocno akcentowanym ale płynnym anglicem.

– Możesz spokojnie przyjąć założenie, że jesteś naszym więźniem, Flandry.

Oczywiście, musieli mu przetrzepać kieszenie. Spytał obojętnym głosem:

– Tak tylko, dla zaspokojenia mojej ciekawości, ta dziewczyna była opłacona przez was?

– Oczywiście. Zapewniam cię, że Scothani nie są bezmózgimi barbarzyńcami, tak jak to się popularnie sądzi na Ziemi, chociaż… – blady uśmiech – takie opinie są czymś bardzo użytecznym.

– Scothani? Nie wydaje mi się, abym miał przyjemność…

– Prawdopodobnie nie słyszałeś o nas wcześniej, chociaż mieliśmy już pewne kontakty z Imperium. Uznaliśmy, że najwygodniej będzie pozostać w cieniu, przynajmniej jeśli chodzi o Terrę, dopóki nie nadejdzie właściwa chwila. Ale… jak myślisz, co było powodem najazdu na was Alarri, piętnaście lat temu?

Flandry zaczął szukać w pamięci. Wtedy był jeszcze chłopcem, ale oczywiście chciwie pożerał w wiadomościach opisy straszliwych flot, które przewaliły się przez granicę i zaatakowały samą Wegę. Tylko dzięki bardzo ciężkiej walce w bitwie pod Mirzan udało się rozbić Alarri. Później okazało się, że uciekali oni przed kolejnym plemieniem, dziką i potężną rasą, która ogniem i mieczem najechała ich ojczysty system. To były dosyć zwyczajne okoliczności na niespokojnych terytoriach barbarzyńskich gwiazd. Ten konkretny incydent dotarł do świadomości Imperium tylko dlatego, że uciekinierzy, próbowali z kolei podboju jego prowincji. Polityczne wstrząsy w dziedzinie samego Imperium, uniemożliwiły dokładniejsze zbadanie sytuacji, zanim sprawa została niemal zupełnie i w całości zapomniana.

– A więc to wy spychaliście przed sobą Alarri? – spytał Flandry tonem tak bliskim nucie właściwej dla uprzejmego zainteresowania, jaki tylko mógł osiągnąć w swoich obecnych warunkach.

– Tak. I innych. Scothani mają obecnie całkiem niezłe małe imperium, tam na zewnątrz, na dzikich terytoriach Galaktyki. Ale ponieważ nigdy bezpośrednio nie kontaktowaliśmy się z Ziemianami, udało nam się, jak już powiedziałem, pozostać dla was niemal nieznanymi.

A więc… Scothani zdobyli posiadaną technologię od jakiejś innej rasy, prawdopodobnie kolejnych barbarzyńców. To był znany schemat, Flandry mógł prześledzić jego przebieg w myślach. Na jakiejś prymitywnej planecie wylądowały statki kosmiczne, Początkowy strach tubylców, stopniowo ustępował miejsca świadomości, że przybysze z nieba pomimo wszystko aż tak bardzo się od nich nie różnili –– mogli zostać zabici, tak jak wszyscy inni. Potem kupcy, uczniowie, robotnicy, najemni wojownicy, zaczęli odwiedzać bardziej zaawansowane planety, przywozić z powrotem wiedzę o ich dorobku naukowym i technologiach. Dalej zbudowano fabryki, zaczęto produkować maszyny, i jakiś plemienny wódz wykorzystał nową potęgę, do rozciągnięcia swoich rządów na powierzchnię całej rodzinnej planety. Następnie, aby zjednoczyć swoich niespokojnych podwładnych, skierował ich wzrok na zewnątrz, obiecując im łupy i chwałę, jeżeli tylko podążą za nim w kosmos, do gwiazd…

Tyle że Scothani pociągnęli to dalej niż większość pozostałych. A ponieważ leżeli tak daleko od granic Imperium, mogli zbudować potężną siłę, zanim zadowolone z siebie, rozpolitykowane Imperium, stało się bardziej niż mgliście, świadome tego faktu… do dnia kiedy…

Vae victis!

II

– Tak, żebyśmy dobrze się zrozumieli – stwierdził wódz barbarzyńców. – Jesteś więźniem na okręcie znajdującym się już o całe lata świetlne od Llynathawr, daleko od granic Imperium, i zmierzającym na samo Scotha. Nie masz absolutnie żadnej szansy na ratunek, a nasze miłosierdzie całkowicie zależy od twojego własnego zachowania. Proszę abyś dostosował je odpowiednio do sytuacji.

– Czy mogę spytać, dlaczego porwano właśnie mnie? – Ton Flandry'ego był bardzo łagodny.

– Masz w żyłach niebieską krew, i jesteś wysokiej rangi oficerem imperialnego wywiadu. Możesz mieć pewną wartość jako zakładnik. Ale to, czego potrzebujemy przede wszystkim, to informacje.

– Ale ja…

– Wiem. – W odpowiedzi słychać było niesmak. – Jesteś bardzo typowym przedstawicielem swojego żałosnego gatunku. Na tyle długo badałem Imperium i panującą w nim dekadencję, aby to wiedzieć. Jesteś tylko kolejnym bezwartościowym młodszym synem, któremu oferowano dobrze płatną synekurę, tak by mógł zakładać na siebie ten fantazyjny mundur i odgrywać żołnierza. Jesteś nic nie wart.

Flandry pozwolił, by na jego policzku wystrzelił w górę rumieniec gniewu.

– Słuchaj, no…

– To wszystko jest zupełnie oczywiste – stwierdził barbarzyńca. – Przyleciałeś na Llynathawr aby wyśledzić jakichś niebezpiecznych konspiratorów. No i co zrobiłeś? Zarejestrowałeś się w największym hotelu w Catawrayannis, jako kapitan Dominic Flandry ze Służby Wywiadu Imperialnego i zacząłeś dumnie paradować w swoim drogim mundurze, rzucając na wszystkie strony mętne sugestie o twoich dokonaniach i prowadzonych obecnie działaniach… które to składały się z picia, hazardu, całonocnych szaleństw i przesypiania całych dni! – W niebieskich oczach zamigotały iskierki chłodnej wesołości. – No, chyba że twoim zamiarem było, aby obserwujący ten spektakl wrogowie Imperium, zaryczeli się ze śmiechu na śmierć.

– Jeżeli faktycznie tak było – zaczął słabo Flandry, – to dlaczego…

– Coś tam zawsze będziesz wiedział. Nawet niechcący musiałeś zebrać w swoich kręgach mnóstwo różnych informacji, obojętnie jak bardzo starałbyś się tego nie zrobić. Z pewnością znasz też wiele szczegółów dotyczących organizacji i działania twojego własnego korpusu, co dla nas może być użyteczną informacją. Wyciśniemy z ciebie wszystko co tylko wiesz! Potem będą jeszcze kolejne usługi, jakie możesz nam oddać, ludzie z Imperium, z którymi możesz nas skontaktować, dokumenty które możesz dla nas przetłumaczyć, być może jakieś wspólne działania, które

możesz wykonać… w końcu, być może, uda ci się nawet zapracować na odzyskanie wolności. – Barbarzyńca uniósł w górę wielką zaciśniętą pięść. – A w przypadku gdybyś planował coś zatrzymać dla siebie, to pamiętaj że oprawcy Scotha znają się na swojej robocie.

– Nie musisz składać takich melodramatycznych gróźb – ponuro powiedział Flandry.

Pięść wyskoczyła do przodu i Flandry upadł na podłogę, a w głowie wirowała i ryczała mu ciemność. Podniósł się na czworaka, gdzieś po twarzy spływały mu krople krwi. Jak przez mgłę usłyszał głos:

– Od tej chwili, mały człowieczku, masz zwracać się do mnie tak jak to powinien robić niewolnik mówiący do księcia korony Scotha.

Ziemianin pozbierał się na nogi. Na chwilę dłonie same mu się zacisnęły w pięści. Książę uśmiechnął się ponuro i ponownie powalił go jednym ciosem. Spoglądając w górę, Flandry dostrzegł silne dłonie, spoczywające na rękojeściach blasterów… nie ma najmniejszej szansy, nie ma szansy.

Poza tym książę, wcale nie był sadystą. Taka brutalność była czymś normalnym między barbarzyńcami… a jeśli już tak o tym pomyśleć, to niewolnicy w obrębie Imperium, mogli być traktowani zupełnie podobnie.

No i jeszcze pozostawał problem utrzymania się przy życiu…

– Tak, proszę pana – wymamrotał.

Książę odwrócił się do tyłu i poszedł sobie.

Oddali mu jego ubrania, chociaż ktoś poobdzierał złote szamerunki i medale. Flandry popatrzył na pobrudzoną, porwaną garderobę i ciężko westchnął. Szyte na miarę…!

Podczas myci i golenia, uważnie przyjrzał się sobie w lustrze. Twarz, która spoglądała na niego ze ściany, miała szeroko rozstawione kości policzkowe, kwadratową szczękę, pieczołowicie pofalowane rudawo-brązowe włosy i z równą uwagą wyrównane wąsy. Trochę za bardzo przystojna, zastanowił się, ścierając krew spod nosa, ale był jeszcze bardzo młody, kiedy kazał popracować nad nią plastykosmetykowi. Może, kiedy już uda mu się wygrzebać z tego bajzlu, powinien dostosować twarz do nieco bardziej szorstkiego wzorca, odpowiadającego jego wiekowi. Pomimo wszystko był już po trzydziestce, czas byłoby już przestać być dużym chłopcem, Dominicu.

Podstawowa struktura kostna głowy i twarzy, jednak była jego własna, tak samo jak i oczy –– duże i jasne, leciutko skośne. Tęczówki miały ten osobliwy szary kolor, który mógł wyglądać jak zupełnie inny, niebieski, zielony, czarny albo złoty. Prawdziwe również było szczupłe, średniego wzrostu, ciało. Nienawidził ćwiczeń, ale przechodził przez obowiązkowy codzienny rytuał, ponieważ mięśnie i koordynacja ruchowa były niezbędne przy jego pracy. A także z tego powodu, że mężczyzna o dobrej kondycji, był rzadkim widokiem wśród raczej zwiotczałej szlachty z Terry. Stwierdził, że jego figura bez wątpienia jest szalenie pomocna w uczynieniu wyjazdów na urlopy do domu znacznie przyjemniejszymi.

No cóż, nie możesz tak stać tutaj przez cały dzień, podziwiając sam siebie, drogi kolego. Naciągnął na silkitową bieliznę, bluzę, spodnie i kurtkę, włożył na nogi lśniące buty przekrzywił oficerską czapkę pod dobrze odmierzonym zuchowatym kątem i wyszedł z pomieszczenia, aby spotkać się ze swoimi nowymi właścicielami.

Wkrótce zorientował się, że Scothani nie byli wcale takimi złymi gośćmi. Byli wielkimi, kłótliwymi, krzepkimi barbarzyńcami, wyruszającymi w kosmos w poszukiwaniu przygód, łupów i mołojeckiej sławy. Mieli w sobie dużo odwagi i lojalności i tę gwałtowną smużkę sentymentalizmu, którą tak lubił. Ale potrafili także wybuchnąć śmiertelnie niebezpiecznym gniewem, przejawiali obojętne okrucieństwo wobec każdego, kto stanął im na drodze, a Flandry nie nabył zbyt wielkiego szacunku dla ich inteligencji. Nie zaszkodziłoby też, gdyby myli się nieco częściej.

Ten okręt był jednym z kilkunastu, które książę korony Cerdic zabrał ze sobą na łupieżczy rajd. Ograbili już całkiem sporą liczbę miasteczek, niektóre z nich nawet na planetach nominalnie należących do Imperium, i będąc w drodze do domu, wysłali jednego z ludzi w szalupie ratunkowej aby skontaktował się z agentami Cerdica na Llynathawr, stanowiącymi stały posterunek wywiadowczy w tej części Imperium. Dowiedziawszy się, że jest w toku jakaś sprawa, nad którą pracuje agent specjalny z Terry, Cerdic rozkazał aby go pochwycić. Tak też się stało.

Teraz kierowali się w stronę domu, z ładowniami wypełnionymi po brzegi zdobyczą, i głowami wypełnionymi planami kolejnych rajdów. To mogło nie mieć jakiegoś specjalnego znaczenia, ale… no cóż… Cerdic i jego ojciec Penda, nie wydawali się być jedynie zwykłymi wodzami barbarzyńców, ani Scothania zwykłym barbarzyńskim krajem.

Czy możliwe jest, aby gdzieś tam, pośród tego mrowia gwiazd ktoś w końcu zebrał siły na tyle potężne, aby złamać potęgę Imperium? Czy Długa Noc, naprawdę była już tylko na wyciągnięcie ręki?

Flandry odsunął od siebie tę myśl. Miał za dużo do zrobienia w najbliższym czasie. Nawet jego zadanie na Llynathawr, co prawda też ważne, mogło zostać i zostanie wykonane przez kogoś innego. Chociaż, smutno pomyślał, nie z tym subtelnym muśnięciem dotyku Flandry'ego. Jego bezpośrednie zmartwienia, były tu i teraz. Musiał zorientować się w rozmiarach sił i ambicji Scothani. Musiał poznać ich plany, przekazać te informacje na Terrę, i jakoś w nich trochę namieszać. Potem nadejdzie może czas na ratowanie swojej własnej skóry.

Cerdic kazał go przyprowadzić do kajuty kapitańskiej. To miejsce było typowym leżem wodza barbarzyńców, z głowami dzikich zwierząt na ścianach, skórami porozkładanymi na podłodze, starymi tarczami i mieczami wiszącymi w różnych honorowych miejscach, z lśniącą w kącie wspaniałą złotą wazą, ukradzioną na jakiejś planecie z zacięciem artystycznym. Były też zupełnie niedopasowane do reszty nowoczesne akcenty, takie jak czytnik mikrodruków, mnóstwo pochodzących z Imperium szpul z książkami, tabele astrograficzne, komputer i vodograf.

Książę siedział w masywnym rzeźbionym fotelu, jego silkitowa szata zwisała luźno z szerokich poręczy. Skinął głową na przywitanie z widoczną niewielką uprzejmością.

– Twoim pierwszym zadaniem będzie nauczenie się scothaniańskiego – oznajmił bez żadnych wstępów. – Jak na razie nikt z moich podwładnych, nawet szlachta, nie mówi w anglicu, a wielu z nich chciałoby z tobą porozmawiać.

– Tak, proszę pana – odparł Flandry. Akurat to było to, czego najbardziej pragnął.

– Lepiej też zacznij porządkować wszystko co wiesz, tak abyś mógł zaprezentować nam to w jakiś spójny sposób – dodał książę. – A ja, który mieszkałem w Imperium, będę w stanie sprawdzić z twoich opowieści na tyle dużo, aby stwierdzić, czy możliwe jest że mówisz prawdę. – Uśmiechnął się ponuro. – Jeżeli będę miał jakiekolwiek powody, aby podejrzewać, że kłamiesz, zostaniesz poddany torturom. A jeden z naszych Wrażliwych i tak wydobędzie z ciebie prawdę.

A więc mieli również swoich Wrażliwych. Telepaci, którzy są w stanie powiedzieć, czy istota rozumna kłamie, kiedy ból zdezorganizuje jej umysł w dostatecznie wysokim stopniu, byli równie dużym problemem jak hipnosondy Imperium.

– Będę mówił prawdę, proszę pana – powiedział.

– Też tak sądzę. Jeżeli będziesz współpracował, to przekonasz się, że nie jesteśmy ludźmi niewdzięcznymi. Kiedy wejdziemy do Imperium, bogactw do podziału będzie więcej, niż można by to sobie wymarzyć. Dla tych ludzi, którzy będą współpracować z naszą rasą, znajdzie się również odpowiednia władza.

– Proszę pana – rozpoczął Flandry tonem kiepskiego moralizatorstwa, – nigdy bym nie pomyślał o…

– Och, pewnie że byś pomyślał – ponuro przerwał mu Cerdic. – Dobrze znam was, ludzi. Podróżowałem incognito po całym waszym Imperium, byłem nawet na samej Terrze. Udawałem jednego z was, albo jeżeli było to dla mnie w danej chwili wygodne, kogoś z którejś z waszych wasalnych ras. *Znam* więc Imperium, jego kompletną dekadencję, jego egoistycznych polityków i szukające jedynie własnej przyjemności tłumy, wszechobecne na każdym kroku intrygi i korupcję, załamanie moralności i poczucia obowiązku, upadek sztuki zmieniającej się w zwykłe rzemiosło i popadającej w stagnację nauki. Wy ludzie, kiedyś byliście wielką rasą, byliście pierwszymi, którzy sięgnęli do gwiazd i, jak sądzę, jesteśmy coś wam za to winni. Ale obecnie nie jesteście już tą rasą, jaką byliście kiedyś.

Przedstawiony punkt widzenia był mocno stronniczy, ale było w tym wystarczająco dużo prawdy, by wywołać u Flanry'ego kwaśny grymas. Cerdic kontynuował tyradę, coraz bardziej unosząc głos:

– Na zewnątrz, poza waszymi granicami, wyrosła nowa siła, młode ludy, prężne, śmiałe, pełne nadziei wynikającej z młodości. One zmiotą przed sobą przegniłe szczątki Imperium i zbudują coś nowego, lepszego.

Tylko że, pomyślał sobie Flandry, *najpierw nadejdzie Długa Noc, ciemność, śmierć i koniec cywilizacji. Ludy wyjące na ruinach naszych świątyń, miriady małych tyranów, utrzymujących swoje straszliwe dwory*

na szczątkach Imperium. Nie mówiąc już nic o upadku dobrej muzyki i dobrej kuchni, smaku i elegancji ubioru, traktowania kobiet oraz konwersacji, jako swoistego dzieła sztuki.

– My mamy pewną rzecz, która wy utraciliście – powiedział Cerdic. – I jak mi się zdaje, w końcu to będzie decydujący czynnik. Uczciwość. Flandry, Scothani są rasą uczciwych wojowników.

– Bez wątpienia, proszę pana – przytaknął Flandry.

– Och, mamy wśród nas również osobników złych, ale jest ich naprawdę niewielu, a zwyczaj prywatnych wyzwań, szybko ich eliminuje – mówił dalej Cerdic. – A nawet ich zło jest zazwyczaj sprawą otwartą i jasną: chciwość, brak poszanowania dla prawa lub inne tego typu rzeczy. Nie tak jak w przypadku korupcji, knowań i zdrady waszych zepsutych polityków. A większość z nas żyje w zgodzie z naszymi prawami. Prawdziwemu Scothani nie zdarza się popełnić niehonorowego czynu, złamać przysięgę, opuścić towarzysza, albo kłamać pod słowem honoru. Nasze kobiety nie biegają wszędzie, robiąc słodkie oczy do każdego mężczyzny, którego spotkają po drodze. Trzymane są we właściwy sposób w domu, aż nadejdzie czas na wydanie ich za mąż, a potem znają swoje miejsce jako matki i strażniczki domowego ogniska. Nasi chłopcy wyrastają w szacunku do bogów i do króla, uczeni są by walczyć i mówić prawdę. Śmierć to sprawa drugorzędna, Flandry. W końcu, w swoim czasie, przychodzi ona do każdego, i nikt jej nie powstrzyma, ale honor żyje wiecznie.

– Nie korumpujemy siebie nawzajem. W domu utrzymujemy nasz honor, a hańbę wykorzeniamy przy pomocy śmierci i tortur. Żyjemy naszym prawem. I to naprawdę właśnie jest powód, dla którego wygramy.

Okręty bojowe też w tym pomogą, pomyślał Flandry, A potem, spoglądając w zimne, bystre oczy: *On jest fanatykiem. Ale jest też cholernie sprytny. A to połączenie czyni go najbardziej niebezpiecznym z wrogów*.

Na głos jednak pokornie spytał:

– Czyż każdy podstęp nie jest kłamstwem, proszę pana? Choćby pańskie własne podróże po Imperium pod przebraniem…

– Naturalnie, pewne posunięcia są niezbędne – sztywno odparł książę. – Ale one nie mają znaczenia, jeśli wykonywane są w stosunku do obcych ras. A już specjalnie jeżeli mają one tak niewiele honoru jak Ziemianie.

A więc również stary dobry kompleks wyższości rasowej. No, dobrze.

– Mówię ci o tym wszystkim – oznajmił żarliwie Cerdic, – w nadziei że może przemyślisz sobie to wszystko, zrozumiesz, że nasze motywy są uczciwe, i przyłączysz się do nas. Będziemy potrzebowali wielu obcokrajowców, szczególnie ludzi, do współpracy, wywiadu i innych usług. Nadal jeszcze możesz czegoś dokonać w swoim do tej pory marnotrawionym życiu.

– Pomyślę o tym, proszę pana – powiedział Flandry.

– A więc idź.

Flandry wyszedł.

Statek pokonał już dobrze trzy tygodnie drogi na Scotha. Mniej więcej dwa z nich zabrało Flandry'emu nabycie doskonałej praktycznej znajomości języka, ale wolał symulować, że ma z tym kłopoty i skarżył się, że gubi się, kiedy zdania wypowiadane są za szybko. To zaskakujące, jak wiele dziwnych informacji można zdobyć, kiedy inni myślą, że się nie rozumie o czym mówią. Oczywiście nic o jakimś wielkim znaczeniu militarnym, tylko ogólne tło, rozproszone skrawki osobistych historii, nastrojów i poglądów. Wszystko to znalazło się w precyzyjnie katalogującym systemie, jakim była pamięć Flandry'ego, gdzie mogło zostać skorelowane ze całością tego co wiedział wcześniej, albo czego się dowiedział, tworząc zadziwiająco kompletny obraz.

Sami Scothani zachowywali się całkiem przyjacielsko, z ochotą słuchając o legendarnej cywilizacji Imperium, i chełpiąc się swoimi wspaniałymi, dawnymi i przyszłymi, wyczynami. Ponieważ w oczywisty sposób, niczego nie mógł zrobić, Flandry był pod dosyć luźną strażą, i tak naprawdę, to miał swobodę poruszania się po całym statku. Spał i jadł razem z wojownikami, wymieniał z nimi sprośne piosenki i nieprzyzwoite dowcipy, przyłączał się do ich niewyszukanych zawodów zapaśniczych, zyskując zaskoczony respekt dla swoich umiejętności, a nawet stając się bliskim przyjacielem i powiernikiem niektórych młodszych mężczyzn.

Cała rasa była uzależniona od hazardu. Flandry nauczył się ich gier, nauczył ich niektórych z Imperium, i jeszcze przed końcem podróży odzyskał swój skradziony wytworny strój, plus kilka innych ubrań i mile pobrzękujący portfel. To było… no cóż, niemal z niechęcią zabierał swoje wygrane od tych przerośniętych dzieciaków. Po prostu nigdy im nawet nie przyszło do głowy, że kości i karty mogą zostać wykorzystane do robienia sztuczek.

Obraz sytuacji rozrastał się. Barbarzyńskie plemiona na Scotha od kilku pokoleń były pewnie zjednoczone pod przywództwem królów Frithii. Teoretycznie. Była to monarchia absolutna, chociaż faktycznie rzecz biorąc, wszystkie klasy poza niewolnikami były wolne. Bezpośrednio podbili jakieś sto systemów, w większości przypadków, zadowalając się obowiązkiem złożenia hołdu i pobieraniem od nich trybutu. Pośrednio zdominowali wszystkich pozostałych, na otaczającym ich obszarze. Pod przywództwem Pandy, kilkanaście podobnych, nieco mniejszych barbarzyńskich państw, uformowało z nimi koalicję, której zaprzysięgłym celem był najazd na Imperium, zajęcie Terry, zniszczenie imperialnych sił zbrojnych i postawienie siebie samych w pozycji władców. Jedynie niewielu z nich wybiegało myślą poza oczekujące ich plądrowanie, chociaż najwyraźniej niektórzy, tacy jak Cerdic, marzyli o utrzymaniu a nawet rozszerzeniu terytorium Imperium, pod swoimi własnymi rządami.

Ich flota budziła grozę –– Flandry nie mógł się zorientować w jej dokładnych rozmiarach –– a jej organizacja i technologia wydawała się być daleko lepsza niż w przypadku większości barbarzyńskich armii. Zbudowali potężny przemysł, w większości oparty na pracy niewolniczej, z nadzorującymi ich władcami Scothani. Mieli zdolnych przywódców, potrafiących czekać dopóki jeden cyklicznie powtarzających się w

Imperium kryzysów politycznych, nie zredukuje jego możliwości militarnych, oraz którzy byli ekstremalnie dobrze poinformowani odnośnie swoich przeciwników. Wszystko to wyglądało więc… źle!

Szczególnie dlatego, że nie mogli już zbyt długo czekać. Pomimo niezrównanego okresu prosperity, stworzonego przez rozwój przemysłu, daniny i zyski z piractwa, wszyscy Scothani szarpali się na smyczy. Dostojnicy i wojownicy w całej koalicji aż się ślinili, aby rzucić się do gardła Imperium. Cały sektor Galaktyki porwany został przez jedno wspólne dzikie marzenie. Kiedy nadejdą z rykiem… no cóż, któż może przewidzieć co się stanie. Siły zbrojne Imperium były bez wątpienia większe, ale czy uda je się zmobilizować na czas? Czy Penda nie dostanie ochoczej pomocy od jednego czy dwóch rywalizujących imperiów? Czy ta banda zupełnie pozbawionych strachu fanatyków nie przetoczy się po myślących tylko o swojej karierze oficerach i obojętnych najemnikach, którzy w dzisiejszych czasach tworzyli większość imperialnych sił zbrojnych?

Czy Długa Noc nie jest czasami rzeczywiście na wyciągnięcie ręki?

III

Scotha nie różniła się jakoś specjalnie od Terry –– trochę większa, nieco bardziej oddalona od swojego słońca, morza były niespokojne, z powodu trzech małych, blisko położonych księżyców. Flandry miał okazję oglądać ją przy użyciu teleskopu –– statek nie miał ekranów powiększających –– i kiedy zbliżali się do planety, obserwował jej potężny dysk, przetaczający się dostojnie na tle panoramy ogni gwiazd Galaktyki, badając jej kontynenty, z dużo większą uwagą, niż to okazywał.

Planeta ciągle miała relatywnie niewielką gęstość zaludnienia, widać było na niej olbrzymie lasy, i wyglądające na pustkowia równiny, z niewielkimi archaicznymi miastami i wioskami, skupiającymi się wokół rycerskich zamków o wysokich, stromych murach. Większość zakładów przemysłowych znajdowała się na innych planetach, chociaż wszędzie na Scotha i jej księżycach można było dostrzec wielkie bazy wojskowe. Licząc razem, Scothani nie mogło być więcej, niż około miliarda, oszacował Flandry, a prawdopodobnie jeszcze nawet mniej. Wielu z nich, zresztą, musiało mieszkać w innych układach, jako nadzorcy międzygwiezdnego dominium. Co wcale nie czyniło ich mniej straszliwymi. Bezmyślne hordy ludzi, byłyby dla ich imperium bardziej zawadą niż pomocą.

Flota Cerdica rozleciała się na wszystkie strony, kapitanowie poszczególnych statków zmierzali do własnych posiadłości. On sam skierował swój okręt do stolicy, Iuthagaar, i wylądował na wielkich dziedzińcach. Po zwykłej pompie i ceremoniach powitalnych w domu, posłał po Flandry'ego.

– No i jak wygląda teraz twoje nastawienie do nas? – spytał go.

– Jesteście bardzo sympatycznymi ludźmi, proszę pana – odparł Ziemianin, – i jak pan powiedział, jesteście silną i uczciwą rasą.

– A więc, czy zdecydowałeś się aktywnie nam pomagać? – Głos był bardzo zimny.

– Naprawdę mam bardzo niewielki wybór, proszę pana – Flandry wzruszył ramionami. – Tak czy siak, będę więźniem, chyba że uda mi się dotrzeć do punktu, w którym zostanę obdarzony zaufaniem. Jedynym sposobem na osiągnięcie tego, jest udzielenie wam mojej dobrowolnej pomocy.

– A co z twoim własnym narodem?

– Trzeba jakoś utrzymać się przy życiu, proszę pana. Mamy bardzo niespokojne czasy.

Pogarda aż podwinęła wargę Cerdica.

– Jakoś miałem o tobie lepsze mniemanie – stwierdził. – Ale przecież jesteś człowiekiem. Można było oczekiwać od ciebie, że zdradzisz wszystkie swoje przysięgi, dla własnej korzyści.

Głosem Flandry'ego wstrząsało zaskoczenie:

– Czy nie tego właśnie pan sobie życzył, proszę pana?

– Och tak, sądzę że tak. Teraz chodź ze mną. Ale nie za blisko… przyprawiasz mnie o lekkie mdłości.

Wspięli się do wielkiego szarego zamku, wznoszącego swe targane wiatrami iglice, ponad miastem. Wkrótce Flandry znalazł się na audiencji udzielonej im przez Króla Scothanii.

Odbywała się ona w olbrzymiej, słabo oświetlonej sali, zawieszonej sztandarami i tarczami pochodzącymi ze starych wojen, i chłodnej, pomimo że na całej jej długości płonął rząd ogni. Na jednym końcu Sali siedział Panda, otulony w chroniące przed zimnem futra, jego wielkie ciało na tle rzeźbionego w smoki tronu, wydawało się miniaturowe. Miał surowy sposób bycia, podobny do swojego najstarszego syna, oraz jego blade oczy, ale bez gorzkiej intensywności widocznej u księcia. Silny człowiek, pomyślał Flandry, twardy, bezlitosny i zdolny. Ale może niezbyt rzutki.

Cerdic wspiął się na siedzenie po prawej stronie ojca. Po lewej stała królowa, lekko drżąc w wilgotnym i zimnym przeciągu, a wzdłuż obu ścian ustawił się rząd strażników. Na ich napierśnikach, hełmach i halabardach, migotały odblaski płomieni. Wydawali się być postaciami ze starych legend, ale Flandry zauważył, że każdy ze strażników, ma również i blaster.

Widać było także i innych, kilku młodszych synów Pendy, posiwiałych generałów i doradców, przybyłą z wizytą szlachtę. Z tych ostatnich kilku nie należało do rasy Scothani, i nie wydawali się być witani z jakąś wyjątkową uprzejmością. Ponadto jeszcze wielu wieszających się pańskiej klamki, bardów, tancerzy i im podobnych. No i pędzący wszędzie dookoła niewolnicy. Za wyjątkiem swoich rozmiarów –– i zagrożenia jakie się za nim czaiło –– był to typowy barbarzyński dwór.

Flandry ugiął kolano, zgodnie z protokołem, ale potem stanął wyprostowany i stawił czoła spojrzeniu króla. Jego pozycja była niezwykła, oficjalnie pozostawał niewolnikiem schwytanym przez Cerdica, w rzeczywistości… no cóż, kimże był? Albo kim mógł stać się z czasem?

Penda zadał kilka, co bardziej oczywistych pytań, a następnie wolno oznajmił:

– Będziesz rozmawiał z obecnym tutaj generałem Nartheofem, szefem naszej sekcji wywiadu, i powiesz mu wszystko co wiesz. Jeżeli chcesz, możesz także czynić przypuszczenia, ale pamiętaj, że fałszywe intencje szybko zostaną wykryte i ukarane.

– Będę szczery, wasza wysokość.

– Czy w przypadku Ziemian można mówić o szczerości? – rzucił Cerdic.

– W moim, tak – stwierdził Flandry wesołym tonem. – Jak długo mi się płaci, służę wiernie. Ponieważ nie jestem już na żołdzie Imperium, muszę rozejrzeć się za jakimś nowym panem.

– Wątpię, czy będzie z ciebie jakiś większy pożytek – stwierdził Penda.

– Myślę, że będzie, wasza wysokość – śmiało odparł Flandry. – Nawet w wielu pomniejszych sprawach. Na przykład, ta wspaniale zdobiona sala

tronowa jest tak chłodna, że trzeba w niej nosić futra, a i tak ręce drętwieją tu z zimna. Bez trudu mógłbym pokazać kilku technikom jak zainstalować tutaj promiennik do ogrzewania, dzięki któremu poczulibyśmy się jak w lecie.

Penda uniósł swoje krzaczaste brwi. Cerdic niemal warknął:

– To ziemska sztuczka. Czy mamy stać się tak samo miękcy i nawykli do luksusu, jak Imperialni? My, którzy polujemy na vorgari na nartach?

Wzrok Flandry'ego przebiegł dookoła pomieszczenia, wychwytując na wielu twarzach wyraz niezadowolenia. W duchu, uśmiechnął się szeroko. Surowe ideały księcia, nie cieszyły się specjalną popularnością wśród tych barbarzyńskich możnowładców. Gdyby jeszcze tylko mieli dostatecznie dużo odwagi, żeby…

Tą, która ośmieliła się odezwać, była królowa. Jej delikatny głos był wyraźnie onieśmielony.

– Sire, czy odrobina ciepła może przynieść jakąś szkodę? Ja… w te dni, ja zawsze jestem przeziębiona.

Flandry posłał jej aprobujące spojrzenie. Już wcześniej zdobył informacje na temat Królowej Gunli. Była młoda, była też trzecią żoną Pendy, i przybyła tutaj z krain Scothani, położonych bardziej na południe niż Iuthagaar. Jej naród był nieco bardziej cywilizowany w porównaniu z dominującymi Frithianami. Z pewnością jej urodę należało uznać za zniewalającą. Miała ciemne, wijące się włosy, no i te olbrzymie fioletowe oczy na śmiałym obliczu. Do tego jeszcze figura, było w niej widać jakąś stłamszoną siłę życia. Zastanawiał się, czy przeklinała swój los, który ofiarował jej w darze błękitną krew i związane z nią polityczne małżeństwo.

Na jedną, króciutką chwilę, ich spojrzenia się skrzyżowały.

– Bądź cicho – powiedział Cerdic.

Dłoń Gunli spoczęła lekko na dłoni Pendy. Król zarumienił się.

– Nie mów tak do swojej królowej, Cerdicu – oznajmił. – Prawdę mówiąc, ta imperialna sztuczka nie jest niczym więcej, niż lepszą formą ognia, którego nikt przecież nie może nazwać niemęskim. Pozwolimy Ziemianinowi zbudować takie urządzenie.

Flandry pochylił się w swoim najbardziej ironicznym z ukłonów. Spoglądając kątem oka na królową, pochwycił jej mrugnięcie. Wiedziała.

Nartheof sprawiał wrażenie chodzącej uczciwości, ale za tymi twardo spoglądającymi, małymi oczkami błyszczącymi energią w jego owłosionej twarzy, znajdował się całkiem niezły mózg. Odchylił się do tyłu, złożył ręce za głową i posłał Flandry'emu, zagadkowe spojrzenie.

– Jeżeli jest tak, jak mówisz – zaczął.

– Jest – odparł Ziemianin.

– Całkiem możliwe. Twoje twierdzenia, przynajmniej jak do tej pory, zgadzają się z tym, co wiedzieliśmy już wcześniej, a większość dalszych szybko będziemy mogli zweryfikować. A więc, jeżeli mówisz prawdę, organizacja Imperium jest niesamowicie dobra. – Uśmiechnął się. – I taka

zresztą powinna być… przecież za dawnych czasów podbiło ono gwiazdy. Ale każda organizacja państwa jest co najwyżej tak dobra jak istoty, które w nim mieszkają, a przecież wszyscy wiedzą, jak sprzedajni i tchórzliwi są dzisiejsi Imperialni.

Flandry nic nie odpowiedział, wspomniał jednak waleczność jednostek syriańskich na Garrapoli, zawziętą odwagę Legionu Valacjańskiego i… no cóż, długo można by jeszcze kontynuować. Pewni siebie Scothani, po prostu zdawali się być niezdolni do zrozumienia, że w stanie absolutnej dekadencji, w jakim wyobrażali sobie obecne Imperium, nigdy by ono nie przetrwało na tyle długo, by musieli mu stawiać czoła.

– Będziemy musieli wszystko przeorganizować – stwierdził Nartheof. – Nie obchodzi mnie, czy to co nam powiedziałeś jest prawdą, czy nie. Twoje twierdzenia wydają się być jednak naprawdę sensowne. Cała struktura naszego państwa jest przestarzała. Na przykład, to śmieszne, aby możliwość wydawania rozkazów wiązała się ze szlachectwem i ślepą odwagą, a nie wykazywaną inteligencją.

– A wy w dodatku zakładacie, że najlepszych z zaciągających się do wojska ludzi, dadzą najlepszych oficerów – powiedział Flandry. – To niekoniecznie musi iść w parze. Silny i twardy wojownik, może oczekiwać od swoich ludzi więcej, niż będą oni w stanie wykonać. Nie możecie przecież wszyscy być nadludźmi.

– Kolejna celna uwaga. A także powinniśmy zlikwidować wymaganie umiejętności fechtunku. W dzisiejszych czasach miecze są bezużyteczne. A my powinniśmy szkolić matematyków, którzy potrafiliby wyliczyć trajektorie i inne rzeczy – Nartheof skrzywił twarz w grymasie. – Aż się boję pomyśleć, co by się stało, gdybyśmy najechali na was trzy lata temu, tak jak chciało to zrobić wielu gorącogłowych. Być może spowodowalibyśmy spore szkody, ale to wszystko.

– Powinniście poczekać jeszcze co najmniej dziesięć, dwadzieścia lat, i naprawdę się do tego przygotować.

– Nie możemy. Wielcy możnowładcy nigdy się na to nie zgodzą. Kto chciałby być księciem jednej planety, jeżeli może zostać wicekrólem sektora? Ale mamy jeszcze rok lub dwa. – Nartheof groźnie popatrzył. – Ale przy twojej pomocy i z twoją radą, mógłbym przynajmniej doprowadzić do porządku moją służbę. Większość z nich to łebskie chłopaki. Ale w przypadku niektórych innych rodzajów sił zbrojnych –– bogowie, te kapuściane łby które nimi dowodzą! Zdarłem sobie gardło na dyskusjach z Norngastem, żadnego skutku. Ten głupiec po prostu nie jest w stanie zrozumieć, że flota kosmiczna o rozmiarach naszej, musi mieć specjalny dział koordynacji, wyposażony w kalkulatory semantyczne i … Najgorsze z tego wszystkiego jest to, że on jest kuzynem króla, i przez to przewyższa mnie rangą. Nie mogę więc za wiele zrobić.

– Norngastowi mógłby przytrafić się jakiś wypadek – wyszeptał Flandry.

– Słucham? – sapnął Narheof. – Co chciałeś przez to powiedzieć?

– **N**ic – odparł lekkim tonem Flandry. – Ale tylko tak dla celów naszej dyskusji, przypuśćmy… no cóż, przypuśćmy, że jakiś dobry szermierz wda się z Norngastem w kłótnię. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że on musi mieć wielu wrogów. Gdyby tak się nieszczęśliwie złożyło, że zostałby zabity w pojedynku, to być może dałoby się dotrzeć przed oblicze jego wysokości natychmiast po tym fakcie, przed wszystkimi innymi, i przekonać go, by wyznaczył jakiegoś bardziej sensownego następcę. Oczywiście, musiałbyś wiedzieć zawczasu, że taki pojedynek ma się odbyć.

– Ty zdradziecki, podstępny…!

– Przecież ja niczego nie zrobiłem, tylko tak sobie rozmyślałem – delikatnie zauważył Flandry. – Jednakże, chciałbym ci przypomnieć, twoje własne uwagi. To nie jest najlepsza sytuacja, gdy dowództwo, zaszczyty i bogactwo przypada głupcowi, zamiast jakiemuś lepszemu człowiekowi, który akurat trafiło się, że ma niższy stopień. A, jak sam to stwierdziłeś, nie jest to również dobra sytuacja dla Scothanii, jako dla państwa.

– Nie chcę nawet słyszeć o żadnych takich ziemskich łajdactwach.

– Oczywiście, że nie. Ja tylko po prostu… powiedzmy spekulowałem. Nic na to nie mogę poradzić. My, Ziemianie, wszyscy mamy brudne myśli. Ale… to my kiedyś podbiliśmy gwiazdy.

– Człowiek może daleko zajść, jeśli tylko… nie! – Nartheof wzdrygnął się. – Wojownik nie upaprze sobie rąk w takim gnoju.

– Nie. Ale może przecież użyć do tego wideł. Narzędzia nie boją się brudu. Człowiek, który nimi włada, nie musi nawet znać szczegółów… Ale, wróćmy do naszych spraw. – Flandry rozsiadł się jeszcze wygodniej. – Mam tu mały, sympatyczny kąsek, informację którą znają jedynie Imperialni wysokiej rangi. Imperium ma całe mnóstwo arsenałów i składów z materiałami wojskowymi, które strzeżone są tylko przez tajemnicę ich lokalizacji. Imperator nie ośmielił się powierzyć mniej pewnym jednostkom pilnowania takich źródeł potęgi, a nie może poświęcić tylu zaufanych legionów, aby miały oko na wszystkie z nich. Wykorzystano więc niczym się niewyróżniające, niezamieszkałe planety. – W oczach Nartheofa ponownie pojawił się wyraz całkowitego skupienia. – Ja znam tylko jedno z nich, ale perspektywy wyglądają całkiem nieźle. To niezamieszkały, jałowy układ, niezbyt wiele parseków w głąb granic Imperium. Jego druga planeta jest wręcz podziurawiona podziemnymi tunelami, wypełnionymi po brzegi statkami kosmicznymi, bombami atomowymi, paliwem… jest tam tego wystarczająco dużo, by obrócić w perzynę całą planetę. Mała szybka eskadra, mogłaby dostać się tam bez trudu, zabrać większość materiałów, i zniszczyć resztę, zanim najbliższy garnizon zdołałby się pojawić i próbować obrony składu.

– Czy to… *prawda*?

– Łatwo można to sprawdzić. Jeżeli kłamię, to będzie was to kosztować co najwyżej ten mały zespół. I to wszystko… a ja, zapewniam cię solennie, nie mam zamiaru umierać na torturach.

– Święci bogowie! – zadrżał Natheof. – Muszę powiedzieć o tym Cerdicowi, i to natychmiast…

– Możesz to zrobić. Albo po prostu możesz polecieć sam, nic o tym nie mówiąc nikomu. Jeżeli Cerdic się dowie, to on będzie dowodził tym rajdem. Jeżeli polecisz sam, to tobie przypadną zaszczyty… i siła…

– Cerdic by… nie spodobałoby mu się to.

– Wtedy będzie już za późno. Po takim śmiałym i udanym uderzeniu, nie będzie mógł cię przecież wyzwać.

– A w dodatku robi się coraz ważniejszy i dumny z siebie. Przydałoby się trochę sprowadzić go na ziemię – zachichotał Nartheof, z głębokim hukiem dobiegającym z jego kudłatej piersi. – Dobrze, na brodę Voltama, zrobię to! Podaj mi jakieś dokładniejsze liczby…

Po pewnym czasie generał uniósł głowę znad papierów, i obdarzył Flandry'ego zamyślonym spojrzeniem.

– Jeśli sprawa rzeczywiście wygląda tak, jak mi się wydaje – wolno wycedził, – to będzie to dla Imperium katastrofa pierwszej klasy. Dlaczego nam to przekazujesz, człowieku?

– Być może zdecydowałem, że wasze powody nieco bardziej mi się podobają – Flandry wzruszył ramionami. – Albo może po prostu chcę jak najbardziej poprawić swoją własną sytuację. My, Ziemianie jesteśmy zwierzętami potrafiącymi się adaptować. Ale mam tutaj wrogów, Nartheof, i jak myślę pojawi się jeszcze paru kolejnych. Potrzebuję silnego przyjaciela.

– No to masz – obiecał barbarzyńca. – Jesteś dla mnie za bardzo przydatny, żeby ktoś cię zabił. I… i… do diabła, człowieku, jakoś tak nic nie mogę na to poradzić, że cię polubiłem.

IV

Kości zagrzechotały na stole i powoli się zatrzymały. Książę Torric zaklął dobrodusznie i popchnął stos monet w stronę Flandry'ego.

– Po prostu nie mogę wygrać – roześmiał się. – Bogowie są z tobą, człowieku.

Jak na niewolnika, nie radzę sobie tak źle, pomyślał Flandry. *Tak prawdę mówiąc, to robię się bogaty*.

– Fortuna sprzyja słabszym, wasza wysokość – uśmiechnął się w odpowiedzi. – Silni, nie potrzebują szczęścia.

– Do Theudagaar z tytułami – powiedział młody wojownik. Był pijany. Wino poczerwieniło jego otwartą twarz i połyskiwało w rozlanych kałużach przed nim, na stole. – Staliśmy się już zbyt dobrymi przyjaciółmi, Dominicu. A zwłaszcza, odkąd doprowadziłeś moje sprawy do porządku…

– Mam dobrą głowę do liczb, i oczywiście pomaga mi tu moje ziemskie wykształcenie… Torricu. Ale potrzebujesz pieniędzy.

– Kiedy weźmiemy Imperium, wystarczy dla nas wszystkich. Jak wiesz, będę mógł rządzić całym układem.

Flandry udał zaskoczenie.

– Tylko jeden układ? Pomimo wszystko, syn króla Pendy…

– To robota Cerdica – Torric popatrzył ponuro. – Ten śmierdzący avagar przekonał ojca, że tylko jeden, najlepszy z nas –– on sam, oczywiście –– powinien dziedziczyć tron. Twierdził, że żadne królestwo jeszcze nie przetrwało, kiedy synowie odziedziczyli władzę w równej części.

– To wydaje się być strasznie niesprawiedliwe. A skąd on wie, że to on jest tym najlepszym?

– Jest najstarszy. To właśnie się liczy. I on jest na tyle zadufany, żeby być tego pewnym. – Torric wychylił kolejny puchar.

– Imperium ma tu lepszy system. Sukcesja zależy wyłącznie od zdolności, spośród wielu kandydatów z całej grupy rodzin.

– No cóż, stare zwyczaje, cóż mogę na to poradzić?

– To jest mowa niegodna wojownika, Torricu. Tak szybko przyznajesz się do porażki… lepiej o tobie myślałem!

– Ale, co ja mogę zrobić?

– Są pewne sposoby. Siła Cerdica, tak samo jak i wielu innych wodzów, polega na liczbie zwolenników i jego własnej armii. Nie jest za bardzo lubiany. Nie byłoby specjalnie trudno pozyskać wielu z jego przyjaciół, aby przenieśli swoją wierność na kogoś innego.

– Ale… zdrada… czyżbyś chciał zrobić ze mnie bratobójcę?

– A czy ktoś mówił cokolwiek o zabijaniu? Po prostu… określmy to, usunięciem. Zawsze może dostać jakiś jeden, czy dwa układy do rządzenia, dokładnie tak samo, jak miał to zamiar zrobić z tobą.

– Ale… zrozum, ja nie mam pojęcia o tych waszych podstępnych ziemskich metodach. Przypuszczam, że masz zamiar jakoś wyprowadzić go w pole –– pozyskać jego sojuszników, obiecując im więcej, niż on daje… jak brzmiało to słowo… przekupstwo?… Dominicu, ja nic o tym nie wiem. Nie potrafię tego.

– Sam niczego byś nie musiał robić – wymruczał Flandry. – Mógłbym ci pomóc. Co byłby ze mnie za człowiek, gdybym nie pomagał swoim przyjaciołom?

Eearl Morgaar, którego lenno stanowiły podbite planety Zanthudian, był możnowładcą, którego siła i wpływy przekraczały jeszcze jego stan społeczny. Ponadto znany był z nienasyconej chciwości.

Powiedział do kapitana Flandry:

– Ziemianinie, twoje sugestie dotyczące zlecenia komuś systemu zbierania podatków, zwiększyły moje dochody ponad dwukrotnie. Teraz jednak tubylcy wzniecili przeciwko mnie rewoltę, mordują moich żołnierzy, jeśli tylko nadarzy im się okazja do tego, i wolą raczej spalić swoje farmy, niż płacić daniny. Co się z tym robi w Imperium?

– Bez wątpienia, proszę pana, przy pomocy niewielkich nakładów, mógłby pan zgnieść buntowników – odparł Flandry.

– Och, tak, ale martwi ludzie również nie płacą daniny. Czy nie ma jakiegoś lepszego sposobu? Moja cała dziedzina, zaczyna tonąć w chaosie.

– Jest kilka sposobów, proszę pana – Flandry szybko naszkicował parę rozwiązań –– marionetkowe komitety złożone z tubylców, propaganda przerzucająca odpowiedzialność na jakiegoś wybranego kozła ofiarnego, i resztę podobnych zagrań. Nie dodał już jednak, że metody te działają jedynie wtedy, kiedy są zręcznie prowadzone.

– To jest dobre – zahuczał w końcu earl. Jego twardy wzrok przebiegł po niewzruszenie uśmiechniętej twarzy Flandry'ego. – Od kiedy tutaj przybyłeś, stałeś się bardzo użyteczny dla wielu scothaniańskich przywódców, nieprawdaż? Weźmy na przykład tę sprawę Nartheofa… teraz jest wielkim człowiekiem, ponieważ zdobył ten imperialny arsenał. A są jeszcze i inni. Wydaje się jednak, że zyski te osiągnięte zostały raczej kosztem innych Scothani, niż samego Imperium. Ciągle zastanawiam się nad śmiercią Norngasta…

– Historia pokazuje, że perspektywy ogromnych zysków zawsze wywołują wewnętrzne konflikty, proszę pana – odparł Flandry. – Daje to wielkim wojownikom szansę na zagarnięcie dla siebie dominującego udziału we władzy, i w ten sposób na ponowne zjednoczenie się ich rodaków, przeciwko wspólnemu wrogowi. W ten sposób wcześni ziemscy Imperatorzy zakończyli wojny domowe i stali się władcami całego pozostającego w ich zasięgu wszechświata.

– Hmmmm… tak. Zysk –– władza –– bogactwo –– tak, *niektórzy* dobrzy wojownicy…

– Ponieważ jesteśmy sami, proszę pana – powiedział Flandry, – pozwolę sobie może zwrócić uwagę, że sama Scotha widziała już wiele zmian dynastii.

– Tak… oczywiście, złożyłem przysięgę królowi. Ale przypuśćmy… tak po prostu przypuśćmy, że w najlepszym interesie Scothani leży to, aby rządziła nimi nowa i lepsza rodzina…

W ciągu godziny przeszli do szczegółów całej sprawy. Flandry zasugerował, że książę Kortan byłby cennym sprzymierzeńcem –– ale należy się strzec Torrica, który ma swoje własne ambicje.

W czasie przesilenia zimowego, odbyło się wielkie święto. Miasto i sam pałac płonęły światłami i huczały muzyką oraz śmiechem pijanych ludzi. Wojownicy i możnowładcy wciągnęli na siebie swoje najpiękniejsze szaty i przechwalali się zniszczeniami jakie to spowodują w Imperium. Wart zauważenia był fakt, że liczba pijackich kłótni prowadzących do rozlewu krwi, była tego roku niezwykle duża, szczególnie pomiędzy członkami najwyższych klas.

Znalazło się też jednak wystarczająco wiele ciemnych kątów. W jednym z nich, w niszy prowadzącej do dużego otwartego okna, stał Flandry, spoglądając z góry na światła miasta, które migotały aż po wielkie wzgórza, w milczeniu stojące poza murami i bielące się w poświacie szybko przemykających się po niebie księżyców. W górze widać było gwiazdy, jasne, wyraźne, migoczące na mrozie. Zdawały się być tak blisko, że wystarczy sięgnąć do góry ręką i będzie można zdjąć je z nieboskłonu. Z zewnątrz dolatywał powiew zimnego wiatru. Flandry mocniej otulił się płaszczem.

Na podłodze zastukały lekkie kroki. Rozejrzał się dokoła i zobaczył królową Gunli. Jej wysoka młodzieńcza postać, rysowała się niewyraźnie w półmroku, ale promyk światła księżycowego rozjaśniał jej twarz nieziemskim blaskiem. Wyglądała niemal jakby była śliczną dziewczyną z Terry, i gdyby nie małe różki… no cóż…

Te istoty nie są prawdziwymi ludźmi. One tylko wyglądają jak człowiek, ale żaden z ludzi na Terrze nigdy nie był taki… prostoduszny! Potem uśmiechając się w duchu: *Nikt jednak nie oczekuje talentu do intryg od kobiety, Ziemianki czy Scothanki. A więc kobiety tego właśnie gatunku są całkiem ludzkie. Wystarczająco mocno dla gustu każdego*.

Cyniczna wesołość rozpłynęła się w nieopisanym smutku. Do diabła, polubił Gunli. W ciągu ostatnich paru miesięcy, często śmiali się razem, była uczciwa, serdeczna i… no cóż, nieważne, nieważne.

– Dlaczego jesteś tutaj, zupełnie sam, Dominicu? – Spytała go. Jej głos był bardzo cichy, a oczy wydawały się olbrzymie, w zimnej bladej poświacie księżycowego światła.

– Nie byłoby rozsądne z mojej strony, aby przyłączyć się do przyjęcia – odparł cierpko. – Spowodowałem wybuch zbyt wielu walk. Połowa z nich, tam, wyprułaby mi bebechy.

– A druga połowa nie może się bez ciebie obejść – uśmiechnęła się. – No cóż, sama się cieszę, że mnie tam nie ma. Ci Frithianie to prawdziwe dzikusy. W domu… – Wyjrzała przez okno i w oczach nagle zalśniły jej łzy.

– Nie płacz, Gunli – delikatnie pocieszał ją Flandry. – Nie dzisiejszego wieczora. Pamiętaj, że to noc podczas której zaczyna wracać słońce. Nowy rok przynosi zawsze nową nadzieję.

– Nie mogę zapomnieć dawnych czasów – powiedziała z goryczą, która nim wstrząsnęła.

Po chwili spłynęło na niego zrozumienie. Spytał cichutko:

– Był tam ktoś jeszcze, nieprawdaż?

– Tak. Młody rycerz. Ale miał zbyt małe znaczenie, a więc wydali mnie za Pendę, który jest stary i zimny. A Jomana został zabity podczas jednego z rajdów Cerdica… – Odwróciła głowę, aby na niego spojrzeć i na jej drżących wargach pojawiła się patetyczna próba uśmiechu. – To nie chodzi o Jomanę, Dominicu. Zawsze mi będzie bardzo drogi, ale nawet najgłębsza rana, goi się z czasem. Ale myślę o tych wszystkich innych młodych ludziach, i ich ukochanych…

– Mężczyźni jednak sami tego właśnie pragną.

– Ale nie pragną tego kobiety. Nie chcą czekać, czekać i czekać, aż powrócą statki, nigdy nie wiedząc, czy czasami na pokładzie nie znajduje się tylko jego tarcza. Nie chcą kołysać w swoich ramionach dzieci, zdając sobie sprawę, że za parę lat będą one już tylko zimnymi trupami na brzegach jakiejś nieznanej planety. Nie… no dobrze… – Wyprostowała szczupłe ramiona. – Niewiele mogę w tej sprawie zrobić.

– Jesteś bardzo dzielną i piękną kobietą, Gunli – powiedział Flandry. – Twoja życzliwość zmieniła bieg historii.

I zaśpiewał delikatnie wiersz, który napisał w formie poezji scothańskich bardów:

Gdy tak widzę cię stojącą
w smutku i w ciemności.
I tylko księżyc rozjaśnia
łzę w twym oku świecącą…
Blask księżyca gości
w sieci twoich włosów.
Tyś największym w świecie
Gunli darem bogów.

I nagle znalazła się w jego ramionach…

Sviffash z Sithafar był zły. Przemierzał w tą i z powrotem swoją tajną komnatę, a ogon chłostał raz po raz jego krzywe nogi. Wypełnione kłami szczęki zgrzytały, podkreślając scothańskie słowa, wyrywające się mu z gardła.

– Oni traktują mnie jak craieexa! – syczał. – Ja, król planety, i inteligentne stworzenie, muszę schylać głowę przed tym brudnym barbarzyńcą Pendą. Nasze statki mają najgorszą pozycję w linii bojowej, i najmniejszą szansę na zdobycie łupów. Ci chełpliwi Scothani na samym

Sithafar, traktują moich poddanych tak jakby byli podbitymi chłopami, a nie wojownikami sprzymierzeńców. To jest absolutnie nie do zniesienia!

Flandry zachował pełne szacunku milczenie. Przez cały czas, odkąd tylko tamten przybył do Iuthagaar na naradę, pieczołowicie pielęgnował oburzenie nurtujące gadziego króla, chciał jednak aby Sviffash myślał, że to wszystko było jego własnym pomysłem.

– Na Ciemnego Boga, gdybym tylko miał na to szansę, myślę, że przeszedłbym na stronę Terran! – eksplodował Sviffash. – Mówisz, że oni przyzwoicie traktują swoich lenników?

– Tak. Nauczyliśmy się, że nie opłaca się, nosić uprzedzeń w stosunku do całej rasy, wasza wysokość. Tak prawdę mówiąc, to nawet wielu nieludzi posiada ziemskie obywatelstwo. No i oczywiście wasale Imperium cieszą się wolnością w obrębie swojej własnej dziedziny, poza pewnymi sprawami związanymi z handlem i siłą militarną, które muszą być ujednolicone. Natomiast wiedzą oni że za nimi, i u ich boku, stoi niezmierzona potęga i bogactwo Imperium.

– Moja szlachta poszłaby na to ze sporą radością – powiedział Sviffash. – Gdyby nie lęk przed zemstą Pendy, chętniej złupiliby planety scothaniańskie niż terrańskie.

– Wielu z innych sojuszników Scothy, myśli w podobny sposób, Wasza wysokość. A jeszcze chętniej przyłączyliby się do powstania, w celu uzyskania pewniejszego i bliżej położonego łupu, jeśli tylko byliby pewni, że bunt zakończy się sukcesem. To tylko kwestia zebrania ich razem i dojścia do porozumienia…

– A ty masz kontakty dosłownie wszędzie, Ziemianinie. Jesteś jak prządka splatająca swoją sieć. Oczywiście, jeżeli zostaniesz przyłapany, to ja na pewno będę musiał się upierać, że w ogóle nigdy nie miałem z tobą do czynienia.

– Naturalnie, wasza wysokość.

– Ale jeżeli to zadziała… ha! – Pozbawione powiek czarne oczy rozbłysły, a rozwidlony język zamigotał pomiędzy zrogowaciałymi wargami. – Ha, podbijemy Scotha!

– Nie, wasza wysokość. Samo Scotha musi zostać oszczędzone. Dostatecznie dużo bogactwa znajdziecie na podporządkowanych planetach.

– Dlaczego? – Pytanie było zimne, pozbawione emocji.

– Ponieważ, wasza wysokość musi zrozumieć, że będziemy mieli sojuszników scothańskich, którzy będą z nami współpracować jedynie pod tym warunkiem. Niektórzy z szukających potęgi możnowładców… i jest też nacjonalistyczny ruch na południu, który chce oddzielenia się od frithiańskiej północy… i mogę powiedzieć, że cieszy się on tajnym przywództwem samej królowej…

Oczy Flandry'ego były równie zimne jak jego głos.

– Zabicie mnie nic panu nie da, książę Asdagaarze. Zostawiłem wszystkie dowody w rękach zaufanej osoby, która, jeżeli nie wrócę żywy,

albo jeżeli zostanę zabity później, przekaże je bezpośrednio królowi i ludowi.

Zaciśnięte na poręczach fotela dłonie Scothanina, zrobiły się zupełnie białe. W jego głosie drżała bezsilna wściekłość.

– Ty diable! Ty oślizgły robaku!

– Te określenia są chyba niezbyt mądre, biorąc pod uwagę jakie można by wybrać z pańskich dziejów – stwierdził Flandry. – Łotr, zdrajca towarzyszy, krzywoprzysięzca, drwiący z bogów… Mam wszystkie dowody, książę Asdagaarze. Część z nich jest na papierze, częściowo to nazwiska rozproszonych świadków i współsprawców, z których każdy wie co nieco o pańskiej karierze. A na Scotha zostać człowiekiem pozbawionym honoru, to już lepiej umrzeć. Na czym, tak prawdę mówiąc, wkrótce się skończy.

– Ale jak się dowiedziałeś…? – Z tonu księcia zaczęła przebijać desperacja. Zaczął lekko drżeć.

– Mam swoje sposoby. Na przykład całkiem sporo dowiedziałem się kultywując znajomości wśród pańskich niewolników i służących. Wy, dobrze urodzeni, zapominacie, że niższe klasy także mają oczy i uszy, a potem rozmawiają między sobą.

– No dobrze… – Słowa wydawały się niemal go zadławiać. – Czego chcesz?

– Pomocy dla pewnych innych osób. Ma pan potężne siły do swojej dyspozycji…

Wiosenne wiatry delikatnie muskały ogród, szeleszcząc poruszanymi gałęziami drzew. Dookoła roztaczał się intensywny zapach budzącej się do życia zieleni. Gdzieś w mroku śpiewał ptak, a w żyłach krążyła pradawna obietnica zbliżającego się lata.

Flandry próbował się zrelaksować, korzystając z tego wonnego wieczoru, ale był za bardzo spięty. Jego nerwy zmieniły się w drżące postronki, mocno wychudł, a oczy straciły swój blask. Podobnie rzecz miała się z Gunli, ale wydawało się to jedynie czynić ją jeszcze piękniejszą. Dodało jej to teraz czegoś więcej niż tylko odrobiny muśnięcia obcości i egzotyki.

– No, dobrze, statek odleciał – powiedział mężczyzna. Jego głos był bardzo zmęczony. – Aethagir nie powinien mieć problemów z dotarciem do Ifri, a to sprytny chłopak –– znajdzie jakiś sposób na dostarczenie mojego listu admirałowi Waltonowi. – Spojrzał ponuro, a lewe oko zaczęło mu mrugać w nerwowym tiku. – Ale margines synchronizacji działań jest rozpaczliwie wąski. Jeśli nasze siły uderzą za wcześnie, albo za późno, może to mieć niszczycielskie skutki.

– Nie martwię się o to, Dominicu – odparła Gunli. – Wiesz jak zorganizować te sprawy.

– Nigdy wcześniej nie rządziłem imperium, moja śliczna. Kilka następnych dni będzie miało krytyczne znaczenie. Dlatego właśnie chcę byś teraz opuściła Scotha. Weź statek, paru zaufanych gwardzistów i leć na Algan, Gimli albo którąś z innych, leżących na uboczu planet. –

Uśmiechnął się kącikiem ust. – To byłoby bardzo gorzkie zwycięstwo, gdybyś w jego wyniku zginęła, Gunli.

W jej głosie brzmiała udręka.

– Powinnam umrzeć. Zdradziłam mojego pana… jestem zhańbiona…

– Uratowałaś swój naród… twoich współrodaków z południa, a w końcu i całą Scothę.

– Ale złamane przysięgi… – Zaczęła łkać, cicho i rozpaczliwie.

– Przysięga jest tylko środkiem prowadzącym do celu. Nie pozwól aby środki przesłoniły ci cele.

– Przysięga to przysięga. Ale Dominicu… to był wybór między tym czy stanąć u boku Pendy czy… twoim…

Pocieszał ją, jak tylko potrafił. I ponuro pomyślał sobie, że jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak obrzydliwie, jak zwykły skunks.

V

Gołym okiem bitwa w kosmosie była ledwie widoczna –– krótkie rozbłyski promieniowania, pomiędzy rojącymi się ognikami gwiazd, od czasu do czasu przesuwający się na tle Drogi Mlecznej ciemny kształt statku. Ale admirał Walton uśmiechał się z zimną satysfakcją, zapoznając się z całością sytuacji dzięki raportom przekazywanym przez integrator semantyczny.

– Miażdżymy ich – stwierdził. – Nasz zespól uderzeniowy jest dwukrotnie silniejszy niż oni, z w dodatku są zdezorganizowani i zdemoralizowani.

– Z kim walczymy? – zastanawiał się Chang, pierwszy oficer.

– Nie da się tego powiedzieć z pewnością. Rozpadli się na tak wiele odłamów, że nie do końca wiadomo, kto to jest. Ale na podstawie raportów Flandry'ego, powiedziałbym, że to była –– jak brzmiało to cudzoziemskie nazwisko? –– flota księcia Markagrava. To on utrzymuje ten sektor i jest rojalistą. Ale może to być również Kelry, który także nastawiony jest anty-terrańsko. Ale prowadzi wojnę z Markagravem i zbuntował się przeciwko królowi.

– Słońca, komety i małe zielone asteroidy! – westchnął Chang. – Ta scothaniańska hegemonia zdaje się po prostu rozłazić w szwach. Chaos! Wszyscy wojują ze wszystkimi, i niech diabli wezmą tego który się najdłużej ociąga! Jak on tego dokonał?

– Nie wiem – Walton wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ale Flandry to as tajnych służb Imperium. Cuda załatwia już przed śniadaniem. Przecież zanim ci barbarzyńcy go pochwycili, zupełnie sam zajmował się sprawą Llynathawr. A wiesz jak to zrobił? Poleciał tam, zabierając ze sobą wszystko poza wielką orkiestrą dętą, urządził doskonałą parodię wysoko postawionego politycznego prominenta, wykorzystującego tę sprawę jako wymówkę do rozpętania awantury na wysokich szczeblach, i pod tą przykrywką znalazł dojście do konspiratorów, poprzez jakichś typów z półświatka, których napotkał w trakcie swojej błazenady. Nigdy im się nawet nie śniło, że może stanowić jakiekolwiek niebezpieczeństwo –– jak to stwierdziliśmy, po tym, gdy cały zespół ludzi pracował przez sześć miesięcy, aby rozwiązać przypadek jego zniknięcia.

– A więc Scothani złapali człowieka starczącego za całą armię, i nawet tego nie wiedzą!

– To prawda – skinął głową Walton. – Porwanie kapitana Flandry'ego, to największa pomyłka, jaką kiedykolwiek popełnili. Bezpieczniej by już było gdyby wzięli bandę jadowitych kobr, za nieszkodliwe domowe zwierzaczki!

Iuthagaar płonął. Tłumy na ulicach wzniecały zamieszki, wyjąc ze strachu i wściekłości, oszalałe po katastrofie. Niedobitki armii Pendy opuściły miasto i uciekały na północ przed postępującymi naprzód buntownikami z południa. Miały stać się łupem partyzantów Torrica, którzy dla odmiany stanowili resztki sił rozbitych przez earla Morgaara, po tym kiedy Penda został zgładzony przez zabójców nasłanych przez Kortana. Sam Morgaar był już martwy, a jego rebeliantów złamał Nartheof. Grupa earla była przeżarta przez korupcję i chciwość, i rozpadła się zanim jeszcze rojaliści zdążyli przystąpić do kontruderzenia.

Nartheof jednak także zginął, z mściwych rąk zwolenników Nornagasta. Przeprowadzona przez niego uzurpacja najwyższej władzy i próba reorganizacji, spowodowała niewiele dobrego, tylko zamieszanie, które jeszcze narosło po jego śmierci. Obecnie siły rojalistów w kosmosie były już pobite, gwałtownie atakowane przez swoich dawnych sojuszników, wypędzone ze zbuntowanych planet podbitych, i spychane przez bezlitośnie nacierającą flotę Terrańską.

Scothaniańskie imperium rozpadło się na setki kawałków, warczących jedne na drugie, i rozpaczliwie próbujących wyrwać co się da, dla siebie, nie myśląc o całości. Zagubieni w niemożliwej do rozplątania złożonej sieci intryg i zdrad, wielcy przywódcy, padali jeden za drugim lub wygrzebywali się z tego bałaganu, i zawierali pośpieszny pokój z Terrą. Pośród gwiazd płonęła wojna i anarchia –– ale wojna ograniczona, tak naprawdę nieznaczący konflikt. Zasoby i organizacja przeznaczona do poważnej wojny i towarzyszącej jej destrukcji, po prostu przestały już istnieć.

Kilku gwardzistów nadal utrzymywało niemal opustoszały teren pałacu, czekając na przybycie Ziemian i koniec konfliktu. Nie można było już nic zrobić, tylko czekać.

Kapitan Flandry stał w oknie i spoglądał z góry na miasto. Nie czuł jakiegoś specjalnego uniesienia. Nie był jeszcze zresztą bezpieczny. Cerdic przebywał na wolności, gdzieś na planecie, a Cerdic bez wątpienia domyślał się, kto był za to wszystko odpowiedzialny.

Gunli podeszła do mężczyzny. Była bardzo blada. Nie spodziewała się śmierci Pendy, i bardzo ją to zraniło. Nic jednak nie można już było zrobić, trzeba było przebrnąć przez tę sprawę do samego końca.

– Kto mógłby o tym w ogóle pomyśleć? – szepnęła. – Komu mogłoby się śnić, ze kiedykolwiek dojdzie do czegoś takiego? Że potężna Scotha będzie leżeć u stóp zdobywcy?

– Ja mógłbym – powiedział Flandry bezbarwnym tonem. – Takie tandetnie sklecone imperia, jak wasze, nigdy nie zdołały za długo przetrwać. Barbarzyńcy po prostu nie mają talentu i wiedzy do ich stworzenia. Żyjąc jedynie dla rabunku, nie da się niczego naprawdę zbudować.

– Oczywiście Scotha była szczególnie podatna na tego rodzaju sabotaż. Tak bardzo zachwalana uczciwość, była waszą zgubą. Pieczołowicie unikając jakichkolwiek działań, które mogłyby zostać uznane za niehonorowe, staliście się kompletnymi ignorantami, nie znającymi tego rodzaju technik i środków zapobiegawczych. Wasz honor nigdy nie polegał

na czymś więcej, niż tylko na skrywaniu haniebnych skłonności. Zasadniczo, wszystko co musiałem zrobić, to wskazać kluczowym ludziom spośród was, zyski jakie może przynieść zdrada. Gdyby byli ludźmi naprawdę uczciwymi, byłbym martwy już po pierwszych sugestiach. Zamiast tego natychmiast podchwycili szansę. A więc bez trudu mogłem skierować ich przeciwko sobie nawzajem, aż do chwili kiedy żaden z nich nie wiedział już komu mógłby zaufać… – Uśmiechnął się niewesoło. – Niewielu Scothani oparło się przekupstwu, morderstwu czy zdradzie, kiedy pokazało się im, że może dać to jakąś korzyść. Zapewniam cię, że większość Terran wybiegało by myślą dużo dalej, byłoby w stanie spojrzeć trochę poza czubek swojego własnego nosa, i uświadomić sobie, że wszystko to musi ostatecznie doprowadzić do katastrofy.

– Pomimo wszystko… honor jest honorem, a ja swój straciłam, tak samo jak wszyscy moi rodacy. – Gunli spojrzała na niego z dziwnym światłem w oczach. – Dominicu, hańbę można zetrzeć tylko krwią.

Poczuł nagle jak tężeją wszystkie jego nerwy i mięśnie, i przed oczyma stanęła mu świadomość jakiegoś śmiertelnego niebezpieczeństwa.

– Co chciałaś przez to powiedzieć?

Wyciągnęła mu z blaster kabury i odskoczyła poza zasięg jego ramion, zanim zdołał się poruszyć.

– Nie… stój w miejscu! – Jej głos brzmiał ostro. – Dominicu, wiem że jesteś sprytnym człowiekiem. Ale czy odważnym?

Stał nieruchomo, sterroryzowany przez broń.

– Wydaje mi się… – Szukał w głowie odpowiednich słów. Nie, ona nie oszalała. Ale nie była tak naprawdę człowiekiem, a w dodatku wbiła sobie do głowy ten fanatyczny barbarzyński kodeks. Spokojnie, spokojnie… albo plunie w niego śmiercią… – Wydaje mi się, że parę razy podjąłem spore ryzyko, Gunli.

– Tak, ale nigdy nie walczyłeś. Nigdy nie stanąłeś z przeciwnikiem twarzą w twarz, człowiek przeciwko człowiekowi, i nie walczyłeś tak jak powinien robić to wojownik. – Ból wykręcił jej szczupłą, śliczną twarz. Po chwili jednak mocno odetchnęła. – Dominicu, to jest tak samo dla ciebie, jak i dla niego. Musi otrzymać szansę na pomszczenie ojca… siebie samego… upadku Scothy… A ty także musisz mieć swoją szansę. Jeżeli zdołasz zwyciężyć, to jesteś silniejszy i masz rację…

Siła daje rację. To było podstawowe, jedno z niemożliwych do złamania, praw Scotha. Pradawny sąd boży, przy pomocy walki, na obcej planecie, leżącej wiele lat świetlnych od zielonej Terry…

Do środka wszedł Cerdic. W obu rękach trzymał miecze, a w jego nabiegłych krwią oczach widać było dziką radość.

– Musiałam go wpuścić, Dominicu – powiedziała Gunli. Teraz zaczęła płakać. – Musiałam to zrobić. Penda był moim panem… ale zabij go, zabij!

Konwulsyjnym ruchem ręki wyrzuciła blaster za okno. Cerdic obrzucił ją pytającym spojrzeniem. Jej głos był niemal niesłyszalny:

– Być może nie byłabym w stanie tego wytrzymać. Mogłabym cię zastrzelić, Cerdicu.

– Dzięki! – Słowo wyrwało mu się z ust, dziko. – Tobą zajmę się później, zdrajczyni. A na razie… – W gardle zabulgotał mu straszliwy śmiech. – Porąbię twojego… przyjaciela… na wiele, malutkich kawałeczków. Ponieważ kto, spośród tak przecież cywilizowanych Terran, potrafi jeszcze władać mieczem?

Wydawało się, że Gunli się załamała.

– O bogowie… O wszechmocni bogowie… Nie pomyślałam o tym…

Nagle rzuciła się na Cerdica, z zębami, pazurami i rogami, uwieszając się na jego ręce trzymającej ostrze.

– Łap go, Dominicu! – wrzasnęła rozpaczliwie. – *Łap go*!

Książę machnął w bok muskularną ręką. Rozległo się głuche plaśnięcie gdy Gunli ciężko upadła na podłogę.

– A teraz – Cerdic uśmiechnął się szeroko, – wybierz sobie broń!

Flandry podszedł do niego i wziął jedną ze smukłych kling. W dziwny sposób, jego myśli koncentrowały się przede wszystkim na królowej, leżącej bezwładnie na podłodze. Biedne dziecko, biedne dziecko, znalazła się pod tak silnym napięciem, że zarówno nerwy jak i ciało, nie były w stanie tego znieść. Ale jeśli da jej się szansę, to na pewno wszystko z nią będzie w porządku.

Oczy Cerdica wyglądały na niemal senne. Kiedy skrzyżowali ostrza, uśmiechnął się.

– Mamy dużo do odrobienia – powiedział. – Kiedy umrzesz, Ziemianinie, nie będziesz już mężczyzną…

W wielkiej sali rozległ się szczęk stali. Flandry odparował mordercze cięcie, i drasnął policzek księcia. Cerdic ryknął i rzucił się na niego, a jego ostrze splatało przed nim śmiertelną sieć. Flandry odskakiwał do tyłu, miecz zadzwonił o miecz, aż do chwili gdy oparł się ramionami o ścianę.

Stali przez chwilę, napierając ostrzem na ostrze, płynęły z nich strugi potu, i centymetr po centymetrze, dzięki większej sile fizycznej, Scothanin odchylał rękę Flandry'ego na bok. Nagle Terranin puścił, niemal w tej samej chwili zbił ostrze w bok, i stal księcia przeleciała z sykiem koło jego twarzy.

Odbiegł kawałek, a Cerdic znów pogonił za nim. Scothanin był zupełnie otwarty na najprostszy sztych powstrzymujący, Flandry jednak nie chciał go zabić. Zwarli się po raz kolejny, ze szczękiem kling, i człowiek cierpliwie czekał na swoją szansę.

W końcu nadeszła, niezgrabny ruch, a następnie najwyższej klasy skręt. Miecz Cerdica wyleciał mu z dłoni, wirując w powietrzu, i przeleciał przez całą komnatę, a książę stał rozbrojony, czując czubek ostrza Flandry'ego na gardle.

Przez chwilę stał z otwartymi ustami, w zupełnym osłupieniu. Flandry roześmiał się szorstko i stwierdził:

– Mój drogi przyjacielu, zapomniałeś, że jedną z cech charakterystycznych dekadenckiego społeczeństwa, jest skłonność do archaizmu. Trudno chyba znaleźć jakiegoś szlachcica w Imperium, który by nie studiował *sztuki* fechtunku.

W wyzywającym tonie księcia zabrzmiały ciężkie tony klęski.

– A więc, zabij mnie. Skończmy już z tym.

– Za dużo było już zabijania, a ty możesz się do czegoś przydać. – Flandry odrzucił trzymaną broń i zacisnął pięści. – Ale jest pewna rzecz, którą chciałem zrobić już bardzo, bardzo dawno temu.

Pomimo potężnej, ale niewprawnej obrony Scothanina, Flandry nie przestawał wybijać z niego diabła.

– **U**ratowaliśmy Scotha, całą Scotha – powiedział Flandry. – Pomyśl trochę, dziewczyno. Co by się stało, gdybyście wyruszyli na Imperium? Nawet jeśli udałoby się wam zwyciężyć, a to akurat zawsze było wątpliwe, ponieważ Terra jest znacznie potężniejsza, niż wam się wydawało, rozpętalibyście tylko wojny domowe. Po prostu nie macie dostatecznie dużych kompetencji do budowy własnego imperium, o czym świadczy fakt, że wasi właśni sojusznicy i wasale, odwrócili się od was przy pierwszej szansie, jaka się pojawiła. Walczylibyście między sobą z powodu łupów, wyzwolone zostałyby dużo większe siły, a Scotha dojrzałaby z wolna do klęski, i w końcu popadłaby w galaktyczne zapomnienie. Obecny konflikt był naprawdę całkiem niewielki. Kosztował życie dużo mniejszej liczby istnień, niż miałoby to miejsce w przypadku, nawet udanej, inwazji na Imperium. A teraz Terra przyniesie wam pokój, za którym tak tęskniłaś, Gunli.

– Tak – wyszeptała. – Tak, zasłużyliśmy na to, by nas podbić.

– Ale nikt was przecież nie podbija – odparł. – Teraz Scotha jest w rękach Południowców, i Terra uzna ich za legalny rząd –– z tobą, jako królową, Gunli. No tak, będziecie kolejnym państwem wasalnym Imperium, ale zachowacie wszystkie swoje swobody, poza wolnością do rabowania i zabijania innych ras. A wymiana handlowa z resztą Imperium, przyniesie wam dużo większy i dłuższy okres prosperity, niż kiedykolwiek mieliście w przeszłości.

– Myślę, że Imperium rzeczywiście jest dekadenckie. Ale nie ma powodu do tego, by przypuszczać, że pewnego dnia nie nastąpi jego odrodzenie. Kiedy pełne życia nowe ludy, takie jak wasz, zostaną poprowadzone przez pradawną mądrość Terry, Galaktyka może przeżyć swoje najbardziej chwalebne dni.

Uśmiechnęła się do niego. Uśmiech był ciągle blady, ale coś z jej dawnego ducha, wydawało się do niej wracać.

– Nie wydaje mi się, żeby Imperium już upadało, Dominicu – powiedziała. – Nie, dopóki ma ludzi takich jak ty. – Schwyciła jego dłonie. – A ty, co teraz będziesz robił?

Odpowiedział na jej spojrzenie i nagle poczuł w duszy głęboką samotność. Ona… była bardzo piękna…

Ale to nigdy nie mogłoby się udać. Lepiej odejść teraz, zanim piękne wspomnienia zaczną się rozpływać w codziennym zwarciu osobowości, które są dla siebie całkowicie obce. Z czasem zapomni o nim, znajdzie sobie kogoś innego, a on… no cóż…

– Mam swoją pracę – odparł.

Popatrzyli do góry, w jasne niebo. Wysoko nad ich głowami pierwszy z lądujących statków imperialnych, rozbłysnął w świetle słońca, jak spadająca gwiazda.

KONIEC